

WŁASNEMI SIŁAMI

MIESIĘCZNIK DLA KOBIETY KATOLICKIEJ



Abonament roczny: 1 zł. Pojedynczy numer: 5 gr.
Abon. roczny, zbiorowy, płatny zgóry, dla Oddziałów KSK.: 50 gr.

Redakcja i Administracja: Tarnów, Pl. Katedralny 6

Telefon: 110
P. K. O.: 414.329

Odnówić wszystko w Chrystusie!

Maria Dmochowska.

Z opłatkiem w rękę...

Z opłatkiem w rękę, stać przed Wami, Drogie Czytelniczki, aby życzenia serdeczne Wam złożyć... Ten opłatek biały — opłatek bielusięki — przypomina nam, że „Słowo stało się ciałem i mieszkało między nami“..., że w Belleem na słanku składa Boże Dzieciątko Marya Panna, a aniołowie przy ubożuchnym żłóbku nucą precudnie najmiłsze: Gloria in excelsis Deo! Chwała na wysokościach Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli...

Ten opłatek biały — opłatek bielusięki — mówi nam, że Boski Zbawiciel narodził się, by świat odkupić, z grzechu uwolnić, niebo utracone ludziom powrócić..., że Syn Boży na ziemię zstąpił, aby nam wzór życia świętego, miłego Bogu, a na niebo zasługującego zostawić..., że Chrystus Pan został wśród nas; pokorny i cichy i miłujący przebywa stale pod postacią Hostii Przenajświętszej w złotym tabernakulum, pokarmem naszym się staje, naszą mocą i siłą, naszą jedyną pociechą i najmiłszą ośłodą...

Ten opłatek biały — opłatek bielusięki — uprzytamnia nam, że przez łaskę Bożą, Bożymi dziećmi się stajemy, choć sami z siebie tacy niegodni jesteśmy i tacy ułomni i taką miernotą będący... że jedni drugim braćmi jesteśmy, braćmi w Chrystusie Panu, braćmi równymi sobie wobec Boga, choć nas Dobroć Stwórcy różnymi darami, talentami, umiejętnościami obdarzyć raczyła, choć nas różni wiek, stanowisko, fortuna, choć inne nosimy nazwiska, inne są warunki życia, inne powołania, godności, obowiązki... że jedni dla drugich serca musimy mieć miłujące, gotowe dla innych na ofiary, cierpienia, niedolę, przebaczące, łaskawe, życzliwości pełne, a takie wyrozumiałe, a takie cierpliwe, a takie dobre, żeby mógł każdy do nas się zbliżyć, każdy nam zaufać, każdy o pomoc bez wahania i lęku się zwrócić...

Ten opłatek biały — ten opłatek bielusięki — trzymając w rękę, stać przed Wami, Drogie Czytelniczki i życzenia składam: ...niechaj każda z nas Dziecinę Bożą ukocha prawdziwie, gorąco, sercem całym, a miłość do Pana Jezusa niech stanie się naszym największym skarbem...

...niechaj każda z nas śladami życia Chrystusowego podąży wytrwale, ufnie i ofiarnie, a to życie cnotliwe, miłością do Bożego Dzieciątka dyktowane, niech stanie się naszym największym szczęściem...

...niechaj każda z nas w Sercu Jezusowym serce swoje miłością dla bliźnich bez przerwy rozpala, a ta miłość ku bliźnim w miłości Dzieciątka Bożego mająca swe źródło, miłość czynna, gorliwa, apostołska niech stanie się naszą największą radością...

Maria Jordanowa.

W „raju bolszewickim“.

Święta Bożego Narodzenia — to święta dzieci, a radość dla matek!

Zmęczona matka i utrudzona nieraz wiele przedświątecznymi przygotowaniem, zapomina o tych wysiłkach i wyczerpaniu, gdy widzi radość swych dzieci w piękny wieczór wigilijny.

...Ale pośród wielu matek, będą i takie, które ze smutkiem patrzeć muszą na pytające twarzyczki dzieci, którym nie mogą sprawić najmniejszej nawet radości w dzień narodzin Bożej Dzieciny... Zamiast upominków, dadzą dzieciętom swoim pieczętę, będą je mieć przy sobie, będą je mogły do serca przytulić. Ufajmy jednak, że mało będzie takich domów, gdzieby radości choć trochę nie było! Pomyślą o tym członkinie K. S. K., pomyśli o tym „Caritas“!

...Tak będzie w naszej Katolickiej Polsce!

...Ale jak będzie w „raju bolszewickim“?

Często gazety i liczne książki donosiły już o rozbiciu rodziny w Rosji sowieckiej, mówiły one także i o dzieciach bezdomnych, wałęsających się po ulicach wielkich miast, błądzących w chłodzie i głodzie — dziesiątkowanych przez choroby — o! te dzieci nie zaznają radości, ani odczuwają ciepłego uścisku matczynych ramion, nie wiedzą nic o radości świąt, bo tych w Bolszewii niema!

Ale niedość było nieszczęścia w bolszewickiej Rosji... Komuniści przenieśli i zaszczepili te ociekające krwią i łzami teorie na drugi kraniec Europy — i w krwi bratniej już drugi rok tonie Hiszpania!

Jaki raj, jakie szczęście dzieciom słonecznej Hiszpanii zgotował czerwony terror? Tym ślicznym dzieciom hiszpańskim, znanym z arcydzieł malarzkich?...

W pismach i gazetach czytaliśmy o dzieciach hiszpańskich, wywożonych do Rosji z tych okęgów, gdzie panował i panuje rząd czerwony.

...Ale nietylko Sowiety dostały w prezencie dzieci hiszpańskie. Dostał je i Meksyk, którego rząd wyznaje zasady komunistyczne i bezbożne.

W gazecie „Czas“ z 13 października b. r. czy-

tamy w korespondencji z Hiszpanii, roztrząsający opis wysyłki 463 dzieci, wysłanych przez rząd czerwony do Meksyku:

„Do portu zawinął statek transatlantyczny „Meksyk“ z dziećmi, wywożonymi z Hiszpanii. Wśród partii komunistycznej w Habana wrzały gorączkowe przygotowania do wielkiej manifestacji na rzecz bolszewizmu, jaką z okazji przejazdu dzieci miano urządzić na ulicach stolicy.

Dzieci miały być wożone wśród tłumów. Ich wygłodzone twarzyczki, pięści zaciśnięte i wzniesione w górę, miały świadczyć o ich uczuciach rewolucyjnych.

Władze republiki Kubańskiej, znane z przychylności względem prawdziwej Hiszpanii, przede wszystkim zabroniły dzieciom opuszczać okręt, a nadto odwiedzać je przez członków partii czerwonej. W ten sposób usiłowana apoteoza rewolucyjna zamieniła się w ściśle urzędowe stwierdzenie stanu rzeczy.

A ten stan rzeczy widnieje przede mną szczegółowo opisany w prasie codziennej.

Posłuchajmy:

Ledwo okręt przybił do pomostu, zgromadzone tłumy obserwowały z brzegu wygląd dzieci, skupionych na pokładzie.

Wygląd dzieci był przerażający. Wszystkie boso, wszystkie w strzępach ubrań brudnych i cuchnących. Ciałka — jak szkielety. Wzrok dzieci przeważnie utkwiony w przestrzeń — martwy i półprzytomny.

Jeden z poważnych ludzi jadących z Francji tymże statkiem wyznał, (i prosił, by wymieniono jego nazwisko) że nie mógł doczekać końca podróży, udreńczony tym, co się działo na statku.

Cały czas na morzu dzieci pozostawione swemu losowi — leżały pokotem na ich pokładzie, gdy ich opiekunowie jechali z komfortem pierwszą klasą, nie zaglądając do dzieci. Ani o ich zdrowie, ani o prostą higienę nie troszczyli się wcale.

W porcie Hawana dzieci same stwierdziły, że kilkoro ich brak.

Załadowanie tego „towaru“ ludzkiego od-

było się w największym nieładzie. Nie posiadano spisu dzieci, ani żadnych danych co do nich.

Władze Kubańskie kategorycznie zażądały wykazu nazwisk. Przy pomocy dzieci sporządzono go mniej lub więcej dokładnie. Dzięki temu zdobyliśmy nazwiska. Na pokładzie jest 463 dzieci. „Wiele z nich jest ciężko chorych“.

Rząd Hawany obdarzył dzieci ubraniami, żywnością, zabawkami. Ale wszelkie jego starania, by tragiczny transport zatrzymać na Kubie — okazały się daremne.

Dzieci pojechały dalej, do Meksyku. Tam mają wyrosnąć na mścicieli, nauczyć się nienawiści do religii i prawa.

A ponieważ stwierdzono „urzędowo“, że to są dzieci rozstrzelanych powstańców hiszpańskich, z takim bohaterstwem walczących z komunistami — „jest to więc najbardziej upodlony handel duszami, jaki sobie wyobrazić można“.

Rząd Walencji (czerwony) wywozi dzieci systematycznie. Handluje nimi. — Płaci tym bezcennym towarem za zobowiązanie do propagandy bolszewizmu, której się podjął.

Nieprawdą też jest, jakoby wywoził tylko sieroty. Odrywa się dzieci od matek pod pozorem odżywienia ich zagranicą.

Dzieci są głodne. Daleko. Wyrwane matkom. Nie zobaczą ich nigdy więcej. Dzieci są bite wśród obcych i płaczą tęskniąc.

Matki proszą dla nich o śmierć, jak o największą łaskę.

„Siwieje włos...“

Oto w skróceniu korespondencja z Hiszpanii To będą pierwsze święta matek, którym podstępnie odebrano dzieci, gorzej niż na śmierć...

A biedne dzieci Katolickiej Hiszpanii nie zaznają radości, że „z narodzenia Pana dzień dziś wesół“, bo wywieźli je do krajów, gdzie Boga się nie uznaje, z Bogiem walczą...

Ale Bóg jest... i patrzy na matki biedne tych biednych dzieci i 463 wywiezionych do Meksyku i tych wielu, wielu innych...

Zlituj się nad nimi, Boża Dziecino!

Teresa Szyrajew.

Samotna Jodelka.

Wśród wielu miłe przeżytych chwil w okresie świąt Bożego Narodzenia — jedno zwykle wspomnienie zostaje głębiej i mocniej wyryte w głębi duszy i serca... Takie wspomnienie opowiada nauczyciel z czasów swej młodości.

Jako młody absolwent, dostałem się z wielkiego miasta na daleką wieś. To była moja pierwsza posada. Na tę placówkę przybyłem ze starszą siostrą — ona miała prowadzić małą gospodarkę i umilać samotność moją. Przyznam się, że drżałem na myśl o tej zapadłej wsi — lecz tak źle nie było. Już po paru dniach czułem się bardzo dobrze. Mieszkanie, choć szczupłe, lecz czyste i jasne znalazłem i ogródek wcale przyjemnie nęcił swą kwietnianą barwą — ludzie, szczerze i życzliwie nas powitali — wielką sprawiłam nam radość smukłej srebrno-lśniacej sygnaturki kościółka i wreszcie dobre serce siwowłosego, o życzliwym spojrzeniu, proboszcza świątelnego. Uczennice i uczniowie skromni, posłuszni, pilni i nie głupi — powietrze zdrowe, żywe — warunki życia choć skromne, ale przystępne i dobre — więc dziękowaliśmy Bogu i zmarłym rodzicom w niebie za opiekę tak czułą nad nami.

Wieś graniczyła z rozległym, gęstym borem — do niego prowadziła wąska zwirowa ścieżka. Najmilszym moim spacerem była przechadzka tą właśnie ścieżyną, do zakłetej prowadząca puszczy. A piękna i wspaniała była ta puszcza! O każdej porze roku w inne przyozdabiała się szaty — coraz barwniejsze i piękniejsze. Tysiące i tysiące zielono liliowe cyprysy, rozłożyste dęby i buki — w niebo sięgające jodły — świerki — sosny — krzewy i fantastyczne zielenie wiatru powiewem kołysane, opowiadały wielkość swego Stwórcy. Opowiadał o tym świergot ptaków leśnych — tanię wiotkich motyli i pracowitych pszczołek — mnogość jagód soczystych — bujność kwiatów, mchów i paproci — ale nade wszystko wołało to ciche, nocą milionami gwiazd zasiane niebo: „Gloria in excelsis Deo“.

W tym lesie stała chatka — biedna — ale miła — to była meta moich codziennych w tę stronę spacerów. Na ścieżce do niej prowadzącej, rosła ładna, zgrabna, samotna jodelka. Ta jodelka specjalną moją zwróciła uwagę — coś mnie z nią związało — i ona to stała się przedmiotem dzisiejszych mych wspomnień.

Z. L.

Placki Wawrzonowej.

Wikcie tak jakoś dzisiaj cni się, tak się jej wydaje pusty i dom i gospodarstwo i miejsca sobie znaleźć nie może. Jej Wawrzek poszedł do sąsiada, dzieci śpiewać przy szopce w kościele, a ona musiała zostać w domu, bo w wieczór i o złodzieja nie trudno i jakże tak zostawić obejście bez opieki.

Nie przyzwyczajona jest Wikta jak rok długi do próżnowania, toteż już dzisiaj, w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia przykszy się jej za robotą, za taką, co się to pali w rękach. Na rozweselenie zaśpiewała sobie: „Wiwat dzisiaj Boskiej istności!“ — ale tak huknęła, aż Buraś wyciągnięty leniwie na przypiecku obudził się nagle przestraszony, lecz zobaczywszy, że nie grozi mu niebezpieczeństwo, przymknął jedno oko, a drugim zezował na gospodynię, rozumując kocim rozumem: „Żeby to gospośia poszli, tobym sobie użył! mięso leży w garczku na kominie, ej! toby było używanie! ale — nie dla psa kiełbasa — nie dla kota spyrka...“ — Buraś tak zakończył monologowanie smutnym głosem i ułożywszy się wygodniej — usnął.

Zmrok już na dobre zaciemniał izbę, gdy Wikta usłyszała kroki czyjeś na ścieżce koło domu, zaraz skrzypnęły drzwi i do mieszkania weszła sąsiadka, która trzymała do chrztu Marcinka, ulubienca Wikty.

— Oj kumo, dobrze żeście przyšli — spadliście chyba z nieba, bo tak się mi samej cniło, ani do kogo słowo powiedzieć, a to dla mnie najgorsze, jak się wygadać nie mogę — aż mi język schnie od próżniactwa...

— Tak, tak, święta prawda, że jak baba — i ja też — nie może sobie gadaniem ulżyć, to aż chora z tego. Ja nie chce chorować — to czym zła, czy dobra muszę ciągle gadać i to mi na zdrowie wychodzi. — Ale coś Wawrzonowa źle wyglądacie!

Tyle tylko trzeba było Wikcie, żeby wszystkie żale wypłynęły jak potok, by wszystkie strapienia przedstawiła sąsiadce. Pokiwała głową, pociągnęła nosem parę razy i zaczęła smutne historie.

— Nic dziwnego, że tak źle wyglądam, bo to co się mi przydarzyło przed świętami, to nie pamiętam, żeby mnie kiedy co tyle zdrowia kosztowało. ...Święta, święta — wszystko się cieszy, że to i w kościele więcej się pomodlić można, bo jest czas i najeść się można, bo każdy biedny czy bogaty nie żałuje sobie i stara się co przygotować. A że prze-

Pewnego jesiennego dnia, przeprowadzałem jak zwykle wpisy na nowy rok szkolny. Ktoś puka delikatnie do drzwi — otwiera i wchodzi nieśmiało: „pochwalony Jezus Chrystus“ — „na wieki“ — odpowiedziałem. Patrząc — aha! — to kobiecina młoda, uboga, ale czysto ubrana, a za nią dwoje dzieci — chłopczyk i mała dziewczynka — oboje niezwyklej urody, niezym dwa cherubinki, do tego miłe i zdrowe. — „Józio i Marysia“ — przedstawia matka — „mieszkamy w lesie — godzina drogi do wsi — pan nauczyciel często się tam przechadza — widzimy go i chcielibyśmy nieraz do chaty zaprosić, ale nie śmiemy, bośmy biedni — stary pszczeniactwem się trudni, ale to nie każdego roku się uda — mamy trochę owsa i malenki ogródek z jarzynkami — robi się miotły, a i borówek nieco się zbiera, to z pomocą Bożą żyjemy i jesteśmy bardzo szczęśliwi — dzieci pora uczyć, to je chcę zapisać“. Słuchając tych zeznań, pomyślałem sobie: nie trzeba być koniecznie bogatym, aby być szczęśliwym — i że wielkie bogactwo nie zawsze szczęście daje.

W szkole dzieci te należały do najlepszych, tak pod względem nauki, jak i zachowania — grzeczność, uprzejmość wyróżniała je od reszty uczniów — ale przede wszystkim odznaczały się ambicją i honorem dziwnym. Nietylko, że nigdy same o nic nie prosiły, choć nieraz zimno dukało — i owsiany placek nie nasycił, ale z wielką przykrością, gdy już tak wypadało, cokolwiek od innych przyjmowały. Taką była też ich matka. Raz gdy już szło ku zimie, siostra moja wezwała kobiecinę, chcąc jej ofiarować coś z ciepłej odzieży, a gdy jej dawała — ta rozplakała się mówiąc: „Wiedzieliście, żeśmy biedni, bom sama mówiła przy wpisie, ale kto śmiał wam skłamać, żeśmy żebracy“ i utulić jej nie można było. „Nie róbcie już tego więcej, nie szkodujcie sobie, bo sami pracujecie i męczycie się z naszymi dziećskami“ — ze łzami prosiła ta szlachetna kobieta.

Nadeszły wakacje Bożego Narodzenia — dzień wigilijny, dzień kołęd, radości i upominków. Koło południa pies głośno zaszczeakał — wyjrzałem do sieni — a tu pod drzwiami stoi Józio i skulona Marysia z pod lasa — coś skostniałymi rączkami przyciska do piersi. Wpuściłem do pokoju — Józio wyprostował się i odważnie recytuje: „Przychodzimy do pana nauczyciela, aby wiesznować, aby nasz dobry pan był zdrowy i wesoły, bo w tym dniu — mówi mama — smuć się nie wolno — a w tym garnuszku jest czysty, prawdziwy miód leśny, co go nam Bóg dał, abyśmy tu przynieśli“. Rozrzewniłem się bardzo, a chociaż z zasady nigdy nie od dzieci, ani od ich rodziców nie przyjmowa-

łem, tu jednak zrobiłem wyjątek. Miód dałem siostrze, prosząc, aby dzieci serdecznie ugościła i w domu przy sobie zatrzymała — a na 5-tą godzinę punktualnie do lasu odprowadziła — biorąc dla obrony i towarzystwa sąsiada Franka, który przyjechał do rodziców na świąteczny urlop z wojska. Po wydaniu rozporządzeń sam byżo wybrałem się do sklepu naszego Kółka rolniczego, zaopatrzonego w liczne i doborowe towary. Nakupiłem jabłek czerwonych, orzechów poślacanych, fig, cukierków krasnych zawijanych, pierników z obrazkami, cacek i błyskotek trochę, wstążek kolorowych fańcuchowych z bibułki i anielskich złotych nici — wreszcie kilkanaście świeczek. To mi spakowali do jednej paczki. Następnie kupiłem flanelkę w kratki na sukienkę całą dla Marysi i miętutką białą kapotkę — dla Józia wyszywany góralski serdaczek ciepły i kominiarkę i dla obojga po parze rękawiczek wełnianych. W osobne paczki z podpisem zawinęli mi i z tym wszystkim pobiegłem co tchu do lasu — po co?... a po to, aby się zemścić za miód — wystroić jodelkę samotną, za którą zapłaciłem gajowemu, aby ofiarować dzieciom. Przepięłem, przyczepiałem, zawieszałem — i oto już wszystko lśni się i uśmiecha. A jodelka moja, niby panna młoda pięknie ustrojona do ślubu — czeka na gości. Już i gwiazdka pierwsza zabłysła na niebie — a tam gdzieś w oddali harmonijka wesołą pieśń nuci „Idźmy wszyscy do stajenki...“ O! — to oni idą — prędko zapalam świeczki — jedną, drugą, dziesiątą i wszystkie. Dzieci tulą się do Wandy — nie mogą mówić z podziwu — widzą jasność, widzą dziwy. „Co to jest? Kto to zrobił? — dla kogo?“ — szeptała, a głos mój spoza jodelki odpowiada: — „To dla was dobre i wdzięczne dzieci sam Bóg przygotował — Jemu dziękujcie“. A mnie radość serce rozpiełała, jak nigdy przedtem. Nadeszli i rodzice z chatki, jasnością w lesie zwabieni. „Zetniście sobie ojeze to drzewko — rzekłem — i zabierzcie ze wszystkim, co na nim jest do domu — niech radość wasza ucezi tę noc Bożą“. — „Dziękuję wam panie — odpowiedział ojciec — dary weźmiemy, ale drzewko tu zostanie, aby dalej rosło i swym cieniem na odpoczynek podróżnym służyło — my sobie ozdóbimy mniejszą drzewinkę — a was panie z siostrą, na jutro pod dach nasz zapraszamy“.

Dzwony z kościółka na wieczerę rodzinną zwołują, a ksiądz proboszcz nimi przypomina, że to tej nocy o 12-tej pasterka. „Wracajmy — rzekłem do siostry — a pieśń nasza niech się rozszerzy po lesie. Śpiewajmy: „Wśród nocnej ciszy głos się rozchodzi...“

Ach! — ta jodelka samotna... to moje najmilsze wspomnienie!...

cież my nie dziady, ale z gospodarstwa, to i mój Wawrzek zawiózł pszenicy korzec do młyna, przywiózł makę i mówi: „Wikta, pamiętaj, że strucla ma być na cały stół, a nie żałuj cukru, masła, jaj i rodzyneków daj, bo jakby się kto trafił do nas na święta, żebym się nie wstydział, że moja nie umie piec!“ — Ja mówię na to: „Nie bój się Wawrzek — czy mi to pierwszyna, czy co? A kto jak nie ja gotował i piekł na wesele Nastki, co było łośńskiego roku w zapusty? Nawet pan nauczyciel, co na tym weselu był, mówił, że nie może dużo jeść, bo takie wszystko wdęzne było, a pączki tom takie dobre i mocne upiekła, że jak jeden z weselników prasał z uciechy pączkiem o ścianę, to lepienie ze ściany grubo obleciało, a pączek całusienki odskoczył i ani trochę się nie zepsuł... Wawrzyś, nie bój się, już ja ci wstydu nie narobię!“

— Zaczyniłam ciasto w wieczór, dzień przed wilią i cieszę się, jakie będą struclę, placki z makiem, z serem, z powidłem, a dużo chciałam upiec, żeby nikt nie narzekał, że sobie nie pojadł. Zamiesiłam i poszłam spać, żeby we wilię wstać do roboty raniutko. W nocy budzę się, bo się mi zdawało, że coś łazi po przypiecku, czy po blasze — „cap, cap“ — raz przedziusienko, raz powoluśku. Przeżegnałam się, aby wszystko złe odpędzić, zaświeciłam lampę i mała mi lampa z ręki nie wyleciała... O kumo — na blasze ułożył sobie mój Wawrzek z wieczora na drewniakach cholewy, żeby mu wyschły, co je znożył w lesie, a ja na przypiecku postawiłam dzieżkę i jak ciasto zaczęło w nocy rósć, tak kipiło i kipiło aż do cholew pełno się nalało i na onucki. Pomyślcie kumo, com miała robić? Wrzuciłam buty i onucki do cebrzyka z wodą i myłam i prałam je w nocy z godzinę. Ale coż z tego? Rano Wawrzek chce buty wdziewać i iść do kościoła, a tu buty jak flaki, bo przecież za parę chwil nie wyschły w środku z wody. Powiedziałam mu, co się przytrafiło z ciastem, że go połowa z dzieżki wyleciała do butów, ale że Wawrzek — nie wymawiający — dość mnie szanuje, to tylko zęby ścisnął, wdział letnie buty i powiedział: „Zamknij drzwi Wikta, aby jeszcze reszta ciasta nie uciekła!“

— Ja z płaczem zabrałam się do mieszania ciasta. Sypię makę i sypię, a to ciągle wolne i dorozumiałam się, że pewnie młynarz wymienił nam naszą piękną pszeniczkę na makę ze zrośniętego zboża, bo ciasto ze zrośniętej pszenicy takie wolne bywa.

— Nie na darmo mówią, że jak baba piecze — mało się nie wściecze; tu ciasto przepaskudne, tu dałam dzieciom rodzynek do obierania, mak do ucierania i ser z żółtkami i cukrem, ale jak zaczęły obierać, jak zaczęły ucierać, tak wszystkie prawie rodzynek gdzieś się podziały, maku też dużo nie zostało, sera z żółtkami jeszcze mniej i myślałam, że nie wiem, co się mi stanie...

— Ale jak było, to było — zrobiłam placek ze serem, z powidłem, z makiem, — z łopaty wszystko leciało jak zamówione, ale najgorzej to było ze struclą, co miała być na cały stół. Co chcę ją zrobić — ciasto rozlewa się całkiem i rozłoszczona dokumentnie wlałam je do rondła, do garczka, bo nie miałam do czego innego i tak się pięknie upiekło, że mój jak się zabrał wczoraj do jedzenia tych gniołków, co to niby miały być struclą, to wziął łyżkę i dzieciom łyżki dał, żeby te gniołki łyżką jedli, bo ciasto było jak klej... Kumo — com się najadła wstydu i nic dziwnego, że źle wyglądam, bo się zamartwiłam tym wszystkim...

— O! i mnie się nijak nie szczęściło, Wawrzonowa, ani w gotowaniu, ani w pieczeniu. Ze wstydem wam to powiem, że wczoraj usmażyła koguta ze ślipiami i z gardzielem pełnym ziarenek. Smażę i smażę, nakrajałam słoniny i cieszę się, jakie to dobre będzie; jak już dobrze się usmażył, dałam go memu mężowi jeść, pewna, że mnie pochwali za ten przysmaczek, a tu mój cisnął ze złością te gardziele z ziarnkami i łeb i wołał: „Żebyś wiedział, żeś taka niezdarna, tobym się z tobą nie żenił. Kobieta, co nawet kury nie umie gotować, ani oporządzić, niech się nie wybiera na swoją gospodarke“. Ja się spłakałam, bo to pierwszy raz od ślubu taki mój był zły, że się aż z domu wyniosła, bom się klócić nie chciała, bo na moje nieszczęście mój słuszność miał.

— Ale wie kuma co? Słyszałam, że dziewczęta z Katolickiego Stowarzyszenia mają mieć kurs gotowania, to zapisz się chociaż jestem mężatka, żeby się czego nauczyć, bo strasznie kobiecie źle, jak nie umie gotować, ani piec, ani — jak to mówią — kotowi ogona związać i ciągle musi się wstydzić.

Na to Wikta ożywiła się trochę i powiedziała z ukontentowaniem: „Jak to dobrze kumo, żeście mi powiedzieli o tym, że będzie kurs gotowania, to i ja na kurs chodźć będę, choć jestem starsza niż wy, a razem będzie nam śmiej między młodymi dziewczętami. Dobrze?“

Jadwiga Rydlowa.

Dobroczyńcy ludzkości...

Cicho i poważnie przesuwała się pani Emilia ulicami wielkiego miasta. Wstępowała co chwilę do najuboższych mieszkań i do wilgotnych suterren, aby przed Świętami Bożego Narodzenia wnieść trochę pociechy opuszczonym, chorym i kalekom, aby rozweselić nędzne a chore dziatki, przynieść im łakocie i ciepłą odzież. ...Znali ją w tej okolicy miasta wszyscy, bo już od dwu lat ten „anioł”, jak ją nazywali, przychodził każdego tygodnia — pocieszał — wlewał otuchę w zbolełe serca — kołował i gorycz w sercach nagromadzoną...

Odkąd ta działalność charytatywna pochłaniała panią Emilię — lepiej od innych odczuwała potrzeby i niedole społeczeństwa — skuteczniej potrafiła się dla niego poświęcić — zapominając często w tej pracy o godzinie posiłku...

Zwykle po takich parogodzinnych przechadzkach po poddaszach i suterrenach wracała do domu, aby dalej pracować dla „swoich biednych” — więc wyszukiwała pracę dla ojca, obciążonego liczną rodziną — wypraszała mleko dla głodnych niemowląt, a obiady dla wychudzonych dzieci — wyszukiwała książki dla chłopców ulicznych, zaś wieczorami naprawiała, łątała i przerabiała ofiarowane suknie i ubranka, aby okryć swoją „zmarzniętą biedotę”.

I właśnie dziś obeszła już wszystkich, których za najbiedniejszych uważała. Czekają ją tylko odwiedzenie osoby, której najwięcej w życiu zawdzięczała... Była to pani, żyjąca w dostatku, w dobrobycie, ale od wielu miesięcy przykuta została do łóża boleści... Starania straszkanej rodziny, aby ukochanej chorej przywrócić

zdrowie i siły, nic nie pomagały. Choroba stale posuwała ją do kresu życia. Najboleśniejszym był fakt, że nie tylko dotknął ją paraliż ręki i nogi, ale że straciła mowę i nie mogła wypowiedzieć myśli i życzeń swych przy zupełnej przytomności umysłu, ani też napisać wobec braku władzy w ręku... Ta ongiś energiczna i czynna osoba, była obecnie istotą wzbudzającą najgłębsze politowanie... Toteż pani Emilia, idąc do jej mieszkania, modliła się gorąco, aby Matka Boska Nieustającej Pomocy podała jej skuteczny sposób pocieszenia nieszczęśliwej. Czyż można bowiem słowami, jakby się tego pragnęło, wyrazić współczucie — wdzięczność — przywiązanie?

...Pani Emilia staje przy łóżu umęczonej chorej — obejmuje czułym wejrzeniem jej głowę, składa serdeczny pocałunek na wychudłej dłoni i o dziwo! odczytuje w jej pięknych głębokich oczach nie żal do Boga — świata i ludzi, lecz poddanie, uległość, cierpliwość. Ale te oczy pogodnie tak dziś wymownie o coś zapytują, wyczekują odpowiedzi...

Pani Emilia ma czułe serce i naturę wrażliwą, umie odgadywać pragnienia i życzenia bliźnich, toteż domyśliła się odrazu, że chora, zawsze myśląca o potrzebach bliźnich, i dziś zda się pytać: „Jak się czujesz? czy daje ci zadowolenie ta praca, do której przed dwoma laty tak cię nakłaniałam?” Pani Emilia uszczęśliwiona zdaje jej sprawę ze swych poczynań dla biednych. Maluje przed chorą dolę biedaków, ich wdzięczne wejrzenia za udzieloną pomoc i opiekę, uśmiechy obdarowanej dziatwy i miłe nadewszystko uczucia swego własnego serca. „A komu to zawdzięczam, komu? — pyta — jeśli nie tobie, droga pani. Ty ukazywałaś mi szczęście prawdziwe na świecie. — Pamiętam te drogie słowa,

wypowiedziane do mnie: „gdy czujesz ucisk i utrapienie, wtedy jest czas na zasługę”. Innym razem mówiła pani: „Jak wielkiej jest kto cnoty, najlepiej się to wyjawia w razie przeciwności, przygody nie czynią człowieka ułomnym, lecz jakim jest, wykazują”. Mówiłaś pani nieraz do mnie: „Ludziom, którym towarzyszy krzyż w życiu, rzeźbi on, uszlachetnia i doskonali ich dusze”. Gdy pewnego razu, znękana i przygnębiona zwierzałam się przed tobą, pani, jak bezcelowym jest moje życie — umiałaś mi podsunąć te wiersze, pełne prostoty i dobroci, których nauczyłam się na pamięć:

Tak mało na świecie dobroci,
a tyle jej światu potrzeba,
nią życie — jak słońcem — się złoci,
nią ziemia się zbliża do nieba!

Potęga jej w sercu poczęta,
nie mija bezpłodnie i marnie:
Sieroty i polne ptaszęta
litośnie pod skrzydło swe garnie.

Aż leśne ptaszyny oswoi,
że same do rąk się jej zleca,
i serca najdziksze rozbroi,
że same dobrocią zaświecą”. (Lucjan Rydel)

I oto na twarzy swej dobrodziejki dostrzega pani Emilia radosny i szczęśliwy uśmiech, bo ta nad grobem stojąca osoba czuje, że choć mogiła ją przykryje, żyć będzie w sercach ludzi, którym serdeczne rady dawała, a których praca dzięki jej wskazaniom społeczeństwu tak wiele przynosi korzyści... Ci, którzy nie tylko sami działają, ale innym tereny szlachetnej ukazują pracy, to prawdziwi dobroczyńcy ludzkości. Zrozumiała to pani Emilia i postanowiła w ślady swej dobrodziejki wstępować...

Laura Markowska.

Obrzędy Bożego Narodzenia.

Północ. Nad samotną, w cieniu oliwnych drzew ukrytą, Betlejemską Grotą, otwiera się niebo i nadziemską światłość, podobna dnia jutrzeńce, przebija czarne osłony nocy, by oznajmić ludziom „dobrą nowinę”.

Spełnioną została wielka obietnica, pełna najświętszych tajemnic. Syn Boży, przyjąwszy postać ludzką, zstąpił na ziemię, by żyć tu z nami i ku nowemu podnieść nas, odrodzonemu życiu.

Pamiętkę tego radosnego zdarzenia obchodzi Kościół katolicki 25 grudnia.

Poprzedza tę uroczystość długi, bo cztery tygodnie trwający czas pokuty, tak zwany Adwent. Sama nazwa jest łacińskiego pochodzenia i oznacza „Przyjście”, a więc zapowiedź Bożego Narodzenia. Smutny ten okres, przywodzi nam na pamięć owe 4.000 lat, jakie upłynęły do czasu przyścia Zbawiciela, a każda z Adwentowych niedziel głosi nam odpowiednią Ewangelię.

Codziennie, na długo przed wschodem słońca, budzi nas dźwięk kościelnych dzwonów, wzywając na modlitwę. Ta Msza św. przed świtanem nosi nazwę Mszy roratnej od pierwszych słów: „Rorate”.

Otulone cieniami nocy kościoły, napełniają się tłumem pobożnych. Tajemniczy, gęsty mrok osłania pochylone, modlące się postacie. W oddali, na ołtarzu goreje siedem świec, jak ongiś, jeszcze w starym zakonie, w świątyni Pańskiej, przed arką przymierza. Roraty odprawiane przed świtem, oznaczać mają ciemności duchowe, w jakich ludzkość była pogrążona przed przyjściem Odkupiciela, oraz tęsknotę za światłem prawdziwej wiary w błagalnym wołaniu: „Rorate coeli desuper et nubes pluant justum”. (Niech ześlą niebiosy z rosą Sprawiedliwego i chmury niech spuszczają Go z deszczem). Siedem gorejących świec oznacza siedem darów Ducha św., jakimi Najśw. Panna była ozdobiona.

W Polsce Roraty zaprowadzono już w w. XIII. a to za panowania Bolesława Wstydlwego, małżonka błądzącego Kingi. Piękny z tym nabożeństwem łączył się zwyczaj, przez samego króla ustanowiony:

„Aby na początku Adwentu każdy ze siedmiu stanów Rzeczypospolitej stawiał świecę na

wielkim ołtarzu, oznaczając, że Chrystus jest światłością naszą. Pierwszą świecę stawiał król na najwyższym świeczniku mówiąc: „Gotów jestem na sąd Boży”. Drugą na poboczny świecznik stawiał biskup imieniem duchowieństwa, trzecią senator, czwartą ziemianin, piątą rycerz, szóstą mieszczanin a siódmą rolnik, każdy powtarzając powyższe słowa króla”.

Inny jeszcze zwyczaj panował w dawnych czasach w Krakowie. Przez wszystkie niedziele Adwentu rozlegał się Hejnał z wieży Mariackiej, grany na dętych instrumentach od północy, aż do świtu.

A oto czas pokuty się kończy. W nabożnym skupieniu i cichej tęsknocie, płyną godziny wyczekiwania na przyjście Zbawiciela. Już pierwsza gwiazdka błysnęła i ukazała się na ciemnym tle nieba. Zbliży się Wigilia. W kółku rodzinnym zasiadają wszyscy do wspólnej wieszki, niezwykle pięknej i uroczystej. Zwyczaj ten pochodzi od pierwszych chrześcijan, którzy zbierali się na wspólne uczytwa zwane „Agapy”, symbolizujące wielką miłość chrześcijańską. Przy śnieżnobiałym obrusem zastawionym stole, łącimy się wspólnie opłatkiem na znak wspólnej miłości i zyczliwości.

W wielu domach ustawia się choinkę przystrójoną mnóstwem świeczek, łakoci i świecidełek. Zwyczaj ten przyjęty z Niemiec, rozpowszechnił się od dawna u nas i ma symboliczne znaczenie. Samo drzewko wyobraża owo zakazane drzewo w raju, oraz drzewo Krzyża św., z którego tyle łask i dobrodziejstw spłynęło na ludzkość, wraz z Światłością prawdziwą — Jezusem.

Z uderzeniem północy odbywa się w kościołach Msza, zwana Pasterką. W ewangelii tej Mszy czytamy o pasterkach, jako pierwszych, którym objawiona została ta radosna i wielka nowina. Zwyczaj ten Mszy o północy, pochodzi również z czasów pierwszych chrześcijan, którzy w obawie prześladowań musieli kryć się w katakumbach, późną nocą odprawiając nabożeństwa.

Po raz pierwszy „Pasterka” odprawiona została przez św. Franciszka z Assyżu, któremu także zawdzięczamy pomysł i wykonanie pierwszych jasełek i szopki. Obdarzony cudowną wizją Betlejemskiej Nocy, z natchnienia Bożego, zbudował pierwsze Jasełka, odtwarzając w nich przesłaniczne sceny z Narodzenia Pańskiego. Odtąd rokrocznie po wszystkich klasztorach zaczęto je naśladować. Najświetniejsze w Polsce jasełka by-

wały za Augusta III. w Warszawie, na Pradze w domu Zamojskich. Składało się na nie przeszło 1000 figur.

Najstarsze u nas postacie jasełkowe znajdują się w kościele św. Andrzeja w Krakowie (dar cesarzowej Elżbiety, wnuczki Kazimierza Wielkiego).

Za tegoż króla Augusta III. był także zwyczaj ustawiania Kołyski Chrystusa Pana w klasztorze OO. Bernardynów w Warszawie. Przy pięknie ustrojonej kolebce, z wyobrażonym w niej Dzieciątkiem Jezus, gromadzili się pobożni Bracia i klęcząc odmawiali modlitwy, kołysząc równocześnie Bożą Dziecinę.

Do jasełek przywiązane są Kolędy, treścią swą przypominające sceny betlejemskie. Tłem ich jest zawsze Boże Narodzenie, jakkolwiek obrazy dostosowane są do życia i zwyczajów danego narodu. U nas pierwszy zbiór kolęd (kantyczki) pojawiają się w XII. w., a autorami ich są przeważnie bakałarze i organści.

Czytamy w starych kronikach, że dawnymi czasy w dzień Bożego Narodzenia po uroczystym nabożeństwie, Ojciec św. poświęcał szpadę i kapełusz, albo miecz i czapkę. Były to dary przeznaczone dla królów, książąt lub sławnych wodzów, którzy odznaczyli się w obronie chrześcijaństwa. I tak n. p. w r. 1448 poseł papieski ofiarował królowi polskiemu Kazimierzowi Jagiellończykowi „złotą różę”. W r. 1540 Zygmunt August otrzymał miecz poświęcony i czapkę. Podobnie papież Innocenty XI. ofiarował królowi Janowi III. Sobieskiemu, za uratowanie Wiednia i całego świata chrześcijańskiego od nawały tureckiej, drogi szyszak, miecz i złotą różę.

Znany jest obyczaj, panujący w dawnej Polsce, że podczas uroczystej Mszy w dzień Bożego Narodzenia i innych ważniejszych świąt, rycerstwo polskie podczas Ewangelii, wydobywało szable do połowy z pochew na znak, że w każdej chwili gotowi są przelać krew w obronie świętej wiary.

Radośnie i godnie winniśmy święcić ten dzień, który ma nam przynieść tyle Boskich darów i dobrodziejstw. Raduje się w tym dniu cały świat chrześcijański, adzwony bezustannie powtarzają ów hymn anielski: „Pokój ludziom dobrej woli”. Nawet stary dzwon Zygmunta rozkołysany wysoko, potężnym swym spiszowym głosem woła: „Gloria, gloria in excelsis...” dzwon Wawelski, o którym lud okoliczny mówi, że „jak Zygmunt się rozdzwoni w Boże Narodzenie, to go słycać aż do Wielkiejnocy” (wsi położonej pod Krakowem)

Maria Dmochowska.

A było ich 44...

Gdzie, kiedy, kogo — pytacie, Kochane Czytelniczki? — Więc Wam krótko odpowiem: Kursów dla Waszych Zacznych, Dobrych i Gorliwych Kierownictw. 44 spotkania, 44 dni prawdziwej organizacyjnej radości, 44 razy trwałego dowodu, że sprawie Bożej służycie prawdziwie, że jesteście, Wy Apostołki Drogie, że pracujecie nieraz z trudem wielkim, w przeciwnościach, w prześladowaniach, narażone na drwiny, na szyderstwa... ale jesteście i pracujecie...

O czym to radziłyśmy na tych naszych Kursach pytacie — zaraz opowiem...

Zapoznaliśmy się z nowym hasłem dla Akcji Katolickiej, a więc uświadomiliśmy sobie, że tylko na zasadach katolickich oparte współzycie wzajemne między ludźmi, może zapewnić społeczeństwu sprawiedliwość, miłość i pokój, za którymi ludzkość tęskni, których pragnie i o które do tej pory tylko ludzkimi stara się środkami. Uprzymiłowiliśmy sobie, że choć komunizm tak dużo mówi o tym, że chce „raj na ziemi” ludziom zgotać, to w gruncie rzeczy jest on największym nieszczęściem człowieka, źródłem niesprawiedliwości i czynnikiem, który tylko burzy, pali i morduje, a zamiast pokoju wprowadza wieczny niepokój, nieporządek i bezład...

Abymy jednak mogły poznać te prawa i zasady, na których ma być oparty nasz wzajemny stosunek do ludzi — będziemy w roku 1938 na zebraniach naszych poznawać — katolicką naukę społeczną — katolickie zasady, na których oparte być musi wzajemne współzycie między ludźmi.

Drugim ważnym punktem na obradach w czasie Kursów, to była sprawa **przygotowywania kandydatek** na wzorowe członkinie K. S. K. Zastąpiła znowu konieczność pouczenia kandydatek o celach i zadaniach Akcji Katolickiej, o obowiązkach organizacyjnych, o korzyściach, jakie każda kobieta odnosi, należąc do K. S. K. — Największą opieką otoczą Kierownictwa nowo wstępujące członkinie, ale wszystkie członkinie K. S. K. winny się starać, by te kandydatki dla naszej organizacji pozyskiwać.

Trzecim punktem naszej pracy na Kursach, to było **omówienie planu pracy na rok 1938**.

Będzie Wam Kierownictwo o tym szczegółowo opowiadało na Walnym Zebraniu, a ja tylko powiem, że ciekawa będzie praca, urozmaicona, w której każda członkini winna brać czynny udział dla własnego dobra, aby zasłużyć sobie na miano apostołki...

Potym wszystkim była przerwa... Rozgwar w sąsiedniej sali czy pokoju, wychodzenie członkiń, niespokojne spojrzenia prezeski miejscowego Oddziału, a nade wszystko miła woń obiadu budziła w nas wszystkich apetyt na to przyjęcie, które gościom gotowały **Zacne Członkinie Oddziałów miejscowych**... Pisało się, mówiło, zakazywało, aby nie robić przyjęcia, ale gdzie tam, każdy Oddział przyjmował gościnnie, nieraz suto, a czasami wystawnie... Było kilka Oddziałów, które i śniadaniem obfitym częstowały i obiad

z kilku dań przygotowały, a myśmy żałowały... że Kurs się kończył przed kolacją, bo pewnie i wieczera byłaby wystawna... Było to miłe, godne uznania i wdzięczności za tyle gościnnych uczuć, ale może zbyt kosztowne... Trzeba jednak ufać roztropności naszych Kierownictw, które wiedzą, czy można i ile można żądać ofiar od Członkiń na te nasze miłe, drogie i tak nas do siebie zbliżające wspólne posiłki w czasie Kursów...

I oto w tej przerwie regulowały Kierownictwa resztę swych należności do Zarządu K. S. K., nabywały książki, a już prawie wszystkie kupowały oznaki, by jakąś pamiątkę powiesić z Kursów i aby inne członkinie zachęcić do sprawienia sobie naszej pięknej oznaki, która pięknie się błyszczy i na brązowym kozuchu góralek, i na granatowych czy czarnych sukienkach nadwiślańskich czy sandomierskich okolic...

I po przerwie zaczynał się **Zjazd Okręgowy**, któremu przewodniczyły Prezeski Okr., coraz lepiej znające Kierownictwa Oddziałów swojego Okręgu, a tak bardzo zżyte z nimi serdecznie, związane prawdziwie siostrzanymi uczuciami.

Zjazd rozpoczął się modlitwą za zmarłe nasze członkinie, za te, które odeszły już do Pana... jakąż to miła chwila, gdy w tej pracy naszej nie zapominamy o tych, których już między nami nie ma, że nie miłości siostrzanej przez śmierć nie zostaje przetrwana, że tworzymy prawdziwą rodzinę Chrystusową, że każda z nas odchodząc, może być pewna naszej modlitwy, gdyby inni o niej w modlitwach nie pamiętali...

Stwierdzenie obecnych Kierownictw na Zjeździe, jakąż to dla Prezeski Okr. i Sekretarki Gen. radosna chwila, gdy wszystkie są, nikogo nie brakuje, gdy karność i gorliwość pokonują wszelkie trudności, związane z przyjazdem, a bywało ich nieraz tak dużo... Konie zawiodyły w ostatniej chwili, odmówili, trzeba było piechotą iść szmat drogi..., mąż nie pozwala, gniewa się, dziecko chore, ojciec czy matka kona, ...jakże często choroba zwali z nóg i mimo najlepszych zamiarów — Kierownictwo w komplecie przybyć nie może... ale takich, które wcale nie przybyły, było zaledwie kilka...

Zebrane **Kierownictwa zdawały sprawozdanie ze wzajemnych odwiedzin Oddziałów**, które w niektórych Okręgach pięknie się powiodły... Było na nich przyjemnie, wesoło, radośnie, aż niechętni mówili: „Co ta Akcja Katolicka się tak cieszy? z czego?” — nie wiedzą oni, że **nie ma szczęśliwszych od nas ludzi**, dlatego się cieszymy i gdyby to zrozumieli i tego naszego szczęścia zakosztowali, staliby się napewno gorliwymi zwolennikami Akcji Katolickiej... Radzono nad **zastępami**, gdzie i jak je utworzono, ile, a w tych Oddziałach, gdzie zastępów nie ma, **obiecany Kierownictwa je bezwzględnie założyć**. Pomóżcie więc, Kochane Członkinie, które to sprawozdanie czytacie, w tej pracy. Pamiętajcie, każda **zastępowa** — to prawdziwa apostołka, a któraż z Was nie chciałaby i nie stara się nią być? — Odważnie do pracy, Pan Jezus pomaga, a ludzie potym za tę pracę są wdzięczni — więc na co czekać?

Była mowa i o **trudnościach, które mają**

Kierownictwa. Rozmaite to one są — te trudności Kierownictw — że są one od wrogów i przeciwników, to nie dziwnego, ale gorzej, gdy Członkinie K. S. K. stwarzają je swoją niedbałością, niezrozumieniem sprawy i brakiem ofiarności... Ale trzeba wierzyć, że to ostatni rok takiej ospałości, że w roku 1938 wszystkie Członkinie płacić będą regularnie składki, że każda Członkini pomoże w wygłoszeniu wykładu, referatu czy odczytu, że nie będzie Członkiń, których cała praca w organizacji polega na krytykowaniu Kierownictwa, bo swojej pracy krytykować nie mogą, gdyż nic nie robią...

W komunikatach Zarządu K. S. K. — Sekretarka Generalna zapowiadała Zjazd Delegowanych do Starego Sącza na 24 kwietnia 1938 r. — gdzie u grobu bł. Kingi czerpać będziemy wszystkie razem zachętę do dalszej apostołkiej pracy, radzić i uchwałać to, co nam do tej pracy ma pomóc i zachęcić i którymi drogami ma podążać...

A na końcu **zamawiały Kierownictwa świąteczne dodatki** do „Własnymi Siłami”, aby każda Członkini miała możliwość nabycia tego świątecznego egzemplarza.

Chcę jednak podzielić się z Członkiniami bardzo pięknym pomysłem, na który wpadł jeden Oddział z dobrym skutkiem, a o którym dowiedziałam się, gdy to Kierownictwo zapytałam, w jaki sposób doprowadzić do tego, że każda członkini abonuje „Własnymi Siłami”. — Oto odpowiedź: „Proszę Pani, zdziwiło się naszym członkiniom, to przypomnienie: dajcie składkę, wpłaćcie prenumeratę, złożcie na maturzystki. — Więc uchwałyły, żeby każda członkini płaciła składkę miesięczną 10 gr. i za to będzie mieć gazetkę, nikt jej nie będzie nudził o 5 gr. na maturzystki i będzie tylko jedno płacenie”. — **Uważam, że Oddział ten bardzo dobrze sprawę rozwiązał**. Niechże Członkinie Nasze Kochane, na najbliższym zebraniu Oddziału uchwałą podobnie, aby ułatwić i uprościć sprawy kasowe w Oddziale. Wtedy prenumerata 50 gr. którą musicie opłacić przed 31 grudnia br. zaliczona Wam będzie jako składka za 5 miesięcy, a dalsze składki opłacicie część przed Walnym Zebraniem, aby mogło Kierownictwo popłacić zobowiązania wobec Zarządu K. S. K., a część później przy innej okazji. Najlepiej byłoby, gdyby Członkinie doprowadziły do tego, by odrazu wpłaciły 120 zł. na cały rok, pozbyłyby się kłopotu, a Kierownictwu ulżyły pracy. — Wszystkie to zrobimy na rok 1938!

Pamiętajcie — jeśli każda Członkini Oddziału będzie abonentką „Własnymi Siłami” — Okręg otrzyma nagrodę — a jaką, niech Wam Kierownictwo z „Posłańca” przeczyta.

Po serdecznych pożegnaniach w nadziei spotkania się w Starym Sączu, po modlitwie w intencji Ojca św., gdy czas i warunki pozwalały, szłyśmy wszystkie do kościoła, by nam Pan Jezus pobłogosławił na dalszą i tak pełną odpowiedzialności pracę...

Nowe wspomnienia i wrażenia pozostawiły po sobie tegoroczne Kursy, żyć nimi będziemy do następnych...

Wg. Zofii Czerny.

Stół wigilijny.

Prawdziwą przyjemnością jest zasiąść do stołu wigilijnego w gronie rodziny, ale baczyć trzeba, by stół na którym spożywać mamy potrawy świąteczne był schludnie nakryty białym, czystym obrusem, przyozdobiony albo wiankami kwiatów w flakonikach, albo gałązkami świerku unikać trzeba tylko oszpeceń stołu kwiatami sztucznymi, robionymi z bibuły.

Ale stół gustownie przybrany nabiera wartości, gdy podaje się na nim potrawy nawet proste, lecz smacznie przyrządzone, toteż chcąc przyjść z pomocą gospodyniom, podajemy parę przepisów, z których mogą one korzystać.

Proporcje na 5 osób.

Zupa grzybowa.

3 dkg. grzybów, 1/2 dkg. cebuli, pieprz (6 ziarenek), 2 litry wody, 1/4 litra śmietany, 5 dkg. mąki, sól. Grzyby opłókać starannie, umyć rękami w ciepłej wodzie, ugotować wywar z grzybów wraz z przyprawami; gdy miękkie odcedzić, pokrajać w paski, wrzucić do wody, mąkę rozmieszać w śmietanie; do śmietany wlewać wrzący wywar, ciągle mieszając; na pozostały wrzący wywar wlać śmietanę, mieszając zagotować, posolić, wlać do wazy. Podawać z krupkami perłowymi, naleśnikami, z grzankami, z kluseczkami.

Kaszę do zup gotuje się na sypko: to znaczy wody daje się 2 razy tyle, co kaszy. Gdy kaszy mamy 1/2 l. to wody 1 l.

Kluski z makiem.

20 dkg. maku, woda, cukier lub miód do smaku, 1/2 kg. mąki, 1 jajko, 1/8 l. wody, sól, osolona woda, 4 dkg. masła. Mak sparzyć wrzącą wodą, nakryć, odstawić i trzymać tak długo w wodzie, aż mak się da rozcierać w palcach; odcedzić przez

gęste sito, odsączyć starannie; przepuścić przez maszynę do mięsa, lub w braku tejże utrzyć wałkiem w makutrze, dosłodzić do smaku; zagnieść ciasto, wywałkować dość grubo, pokrajać, ugotować, odcedzić, wyłożyć do miski, wymieszać z masłem i makiem, podać na ogrzonym półmisku.

Śledzie zaprawiane.

5 małych tłustych śledzi beczkowych (mleczaków), woda. Zaprawa z octu: 1/8 l. wody, ocet do smaku, 4 liście bobkowe, ziele angielskie, 5 dkg. cebuli, 10 kawałków marchewki, 10 kawałków korniszona. Poprzedniego dnia namoczyć śledzie, często zlewając wodę, obrać ze skóry i kości, podzielić wzdłuż napół. Przygotować zaprawę: a) zagotować wodę, dodać octu do smaku, angielskie ziele, liść bobkowy i cebulę, b) mleczko śledziowe przetrzeć przez sito, c) połączyć z przestudzoną zaprawą; zwiąć śledzie w ślimaczki, do środka włożyć cebulę z zaprawą, krajana marchewkę, kawałek ogórka, lub korniszona. Śledzie zapiąć końcem wykałaczką. Układać w słoju, jeden koło drugiego, zalać śledzie zimną zaprawą, powierzchnię nakryć listkami bobkowymi, podawać na okrągłym półmisku. Podawać z chlebem, lub ziemniakami pieczonymi.

Kapusta kiszona z grzybami.

1 kg. kapusty kiszzonej, 3 dkg. grzybów, 2 dkg. cebuli, przyprawy: kminek, liść bobkowy, ziele ang., trochę wody, 5 dkg. tłuszczu, 3 dkg. cebuli, 5 dkg. mąki, 1/8 l. zimnej wody, wywar, sól, pieprz, skwarki. Grzyby opłókać w ciepłej wodzie, kapustę kiszoną, jeśli bardzo kwaśna, opłókać, przekrajać parę razy, ugotować w wodzie z cebulą pokrajaną, przyprawami i grzybami na szybkim ogniu, cebulę pokrajać, zrumienić na tłuszczu, na bardzo jasny kolor, wysypać mąkę, zrumienić na jasny kolor, odstawić, rozprowadzić zimną wodą i wywarem, mieszając zagotować; grzyby pokrajać drobno, włożyć do kapusty, zasmażkę wymieszać z kapustą, dodać soli, pieprzu, podgotować, podawać w salaterce.

Ciastka lukrowane.

20 dkg. mąki, 4 dkg. frytury (tłuszczu), 5 dkg. cukru, 1 jajko, śmietana, sól, 1/2 proszku spulchniającego, 15 dkg. kwaśnej marmelady, tłuszcz do smarowania blachy, lukier cytrynowy różowy: 25 dkg. cukru, 1/8 l. wody, czerwona farba cukiernicza. Przesianą mąkę posiekać z tłuszczem, wymieszać z cukrem, ukształtować wianuszek, ubić jajko, dodać soli, śmietany, wyrobić. Gdy wszystkie składniki połączą się, wynieść ciasto do wypoczęcia w chłodne miejsce, blachę posmarować tłuszczem, przygotować marmeladę, do ciasta wysypać spulchniającego proszku, wyrobić, podzielić ciasto na dwie części: jedną połowę wyłożyć blachę, wałkując na grubość palca, placek posmarować marmeladą, wywałkować drugą część ciasta, nakryć placek posmarowany marmeladą, wyrównać, pokłuć, w wielu miejscach, upiec w dobrze ogrzanym piekarniku, z cukru i wody ugotować syrop do nitki (t. j. by z łyżki po wyjęciu za krople pociągnęła się nitka. Utrzeć do białości, rozrzedzić sokiem z cytryny, zabarwić na kolor różowy, placek polukrować, gdy lukier zastygnie, krajać na małe kwadratowe kawałki.

Cynamonki.

12 dkg. mąki, 1 dkg. tłuszczu, 12 dkg. cukru w mączce, przyprawy: 1/2 łyżeczki skórki cytrynowej, 3 goździki, kawałek cynamonu, 1 jajko, trochę wody, proszek spulchniający (na koniec noża), tłuszcz do smarowania blachy, mąka do podsypiania blachy. Utluc goździki, cynamon wraz z kostką cukru bardzo miało, zetrzeć skórkę cytrynową, mąkę posiekać z tłuszczem, wymieszać z cukrem i przyprawami, zagnieść z jajem, wodą ciasto tak gęste jak na kluski, wyrobić starannie, dodać proszku spulchniającego, blachę posmarować tłuszczem, wysypać mąką, wałkować ciasto bardzo cienko, wykrawać foremkami, na blasze układać ciastka dość gęsto, jedno koło drugich, upiec na kolor złoty, w dobrze ogrzanym piekarniku.



„WŁASNEMI SIŁAMI”

ŚWIĄTECZNY

DODATEK DLA DZIECI

Laura Markowska.

Gwiazdka Antosia

(Baśń).

Zbliżał się dzień Bożego Narodzenia. Śnieg bielił ziemię białymi płatami i uwijał wszystko miękkim puchem. Ludzie na ulicach spieszyli do domów, chowając w futrzane kołnierze zmarznięte twarze. Tu i tam głos dzwonek u sanek rozlegał się wesoło, a w domach, przytuliwszy twarzyczki do zmarzniętych szyb okien i chuchając w nie, gromadziły się dzieci, czekając, rychło na niebie ukaże się pierwsza gwiazdeczka.

W dniu tym powszechnie panowała radość. W jednym tylko domku mały chłopczyzna smucił się, wiedząc dobrze, że „Gwiazdka” nic mu nie przyniesie. Chłopczyk ten nazywał się Antoś. Nie miał ani ojca, ani matki, a macocha jego była nie-dobłą. W tym dniu właśnie zamknęła go na klucz w nieopalonej izbie, a biedny chłopczyk, trzęsąc się z zimna, siedział przy oknie, patrząc, jak wszędzie w domach zapalają się światła, a śnieg miękkim puchem spada i spada. Żal ścisnął jego serduszko, gdy widział, jak inne dzieci wesoło san-kują się, tu i ówdzie gromada bawi się śniegiem, jemu odmówiono tej przyjemności. Z początku popłakiwał, lecz w końcu opamiętał się i uspokoił. Uwagę jego zwróciła w tej chwili śliczna gwiazdka srebrzysta, którą cudownym światłem migotała w oddali na ciemnym szafirze nieba.

I myślał sobie Antoś:

— Gdybym ja tak miał tę gwiazdkę... gdybym mógł się do niej dostać... Pewnie trzeba by iść do niej długo, może dzień cały, może i więcej. Lecz przecież dostałbym się w końcu do niej, zdjąłbym ją i nosił przy sobie, a choćby mnie czasem macocha wykrzyczała, lżejby mi było, miałbym swoją śliczną gwiazdeczkę.

Wtem drzwi zaskrzypiały i piękne marzenia chłopca przerwała starsza kobieta, wołając szorstkim i piskliwym głosem:

— A tobie co wlało do głowy przesiadywać, u cka? Masz tu pieniądze, zwijaj się przedko, przynieś bochenek chleba, a pamiętaj, abyś nie zgubił.

Tak napomniany Antoś wybiegł na ulicę, lecz ledwie uszedł kilka kroków potknął się i upadł. Na ulicy było ciemno. Wiatr tylko chwilami głośnie- ję zawył, czasem z oddali wyrwał się śmiech jakiś, lecz nigdzie ani śladu żywej duszy.

— O, ja nieszczęśliwy! — zawołał Antoś. — Już mnie nie powracać do domu. Macocha krzyzczeć i bić będzie...

Na próżno płynęła skarga, na próżno szukał Antoś pieniędzy. Wypadły mu one z ręki i znikły w puszystym śniegu bez śladu. Z wyrazem bólu, podniósł swoje ciemne, zażawione oczy w górę. Gwiazdka, na którą patrzył Antoś z domu, lśniła teraz przecudnie. Rosła ona w oczach chłopca i czarowała go. Czy widział w niej może wybawczynię swego losu, czy podobała mu się ona dlatego, że tak pięknie migotała — trudno wyjaśnić. Wlepił w nią swe oczy, a ona błyszczała tak cudnie, że Antoś zaczął się przez łzy uśmiechać i powiedział do siebie:

— Muszę się tam do niej dostać, muszą zdjąć ją i przynieść do domu, a wszystkim nam dobrze będzie.

Czuł teraz, że woli jego odtąd nic zmienić nie zdoła; gwiazdka, co przed nim lśniła, rozpała w sercu jego dziwną odwagę. W inną stronę skierował swe kroki i szedł do gwiazdki.

Powietrze było mroźne. Śnieg sypał coraz gęstszy, coraz się bielszymi uwijał płatkami. Była późna noc, a Antoś odważnie szedł obcymi ulicami, po śladach srebrnych nici swej pięknej gwiazdeczki. Przed nim jaśniała droga nieznanymi widokami. Wyobrażał sobie, że może jeszcze dzisiaj patrzeć będzie z góry na ziemię, jeśli go ona zatrzyma przy sobie, a jeśli nie, to zdejmie ją i będzie szczęśliwy.

Przed nim zamajaczył duży, czarny las. Drzewa szumiały tajemniczo, a była północ, gdy biedny nasz chłopczyzna zatrzymał się pod lasem. Drzewa tak strasznie wyglądały, wsłuchane w szelest padającego śniegu i dziwiły się między sobą, widząc sierotę zziębniętą i zgłodniałą. I pytały się jedne drugich:

— Czego chce mały sierota?

Aż Antoś uczył, że dalej już iść nie potrafi, nogi uginały się pod nim ze zmęczenia.

— Spocznię sobie trochę — rzekł poważnie do siebie i oglądając się ciekawie dokoła, usiadł pod dużym świerkiem, na miękkim, puszystym pagórku.

A drzewa szumiały nad jego głową i mówiły mu:
— Wstań Antosiu! Nie zasypiaj! Patrz, śnieg pada coraz gęstszy, przykryje cię chłopczyku i nie dojdiesz do swej gwiazdki.

Ale Antoś nie słyszał, bo już usnął.

Zbudziła go jasność duża, zielone jakieś światła. Podobne widział już gdzieś, kiedyś w życiu. Przed nim zarysowała się śliczna, złota droga i orszak ludzi dziwnych, ze skrzydłami i lśniących od złota. Głos dzwonek rozlegał się echem po lesie. Antoś drżał ze wzruszenia i osłupiałym wzrokiem podziwiał niesłychane zjawisko. Przed nim stał właśnie duży anioł, w długiej, bieluchnej szacie, z szerokimi skrzydłami, niosąc na czole dużą, srebrzystą gwiazdkę. W oddali, gromadka mniejszych aniołków uwijała się około małej, ubożuchnej stajenki. Wewnątrz, w skromnym żłóbku, leżało cudne, Bo-

że Dzieciątko, uśmiechając się wdzięcznie do swej Niebieskiej Matuli. W górze, nad stajenką, lśniła ogromna gwiazda, ozłacając swymi promieniami stajenkę, żłóbek i wszystko dokoła. Jakieś słodkie granie i śpiew rozlegały się w powietrzu, daleko.

A anioł, widząc zdumionego Antosia, zdjął ze swego czoła promienną gwiazdeczkę, dał ją chłopczyźnie i rzekł:

— Nie bój się Antosiu, już teraz będzie ci dobrze. Gwiazdka, do której tęskniłeś, przyniesie ci szczęście, jakiego nikt dać ci nie może na ziemi.

To rzekłszy, ujął chłopczyka za ramię i poprowadził do Bożej Dzieciny.

A gdy tylko Antoś wziął gwiazdkę do ręki, zaraz u ramion jego wyrosły małe, białe skrzydełka i odtąd już zawsze mógł razem z innymi aniołkami patrzeć z góry na ziemię.

Tak się ziściły jego marzenia.

O sewcykowy dusyccie

(Przedruk z „Tygodnika Ilustrowanego“ z 1906 r.).

Roz był taki biedny sewcyk, pijok to ta ón nie był, choć ta nie bez tygo, zeby ta roz za jakiś cas wódki nie wypsiuł; no i wzion i umer.

Tak jak jus ta sewcykowa dusycka wysła z tego śmirternego ciała, tak niewiele myślący, idzie do nieba. A ze to stuk drogi, tak se ta sewcykowa dusycka sła i sła, jaze jom nózki ozbolały, a siadać nie było na chmurach kady, bo była pogoda.

Tak jus tak idzie i idzie, nózki jus ji popuchły, bo to sewcyk, jako zwyczajnie, miał kiepskie buty.

Tak patrzy, a tu takie piękne wrota, całe ze złota i srybła: a to były niebieskie wrota.

Tak sewcykowa dusza zacena do tych wrót kołatać.

— Kogo tam Pan Bóg prowadzom? — pyto sie św. Pieter, co to zawdy przy tych wrotach stoi i dusycki do nieba pusce.

Tak sewcykowa dusycka, ze to sewcyk był nabożny, tak podo:

— Niech będzie pokwalony!

— Na wieki! — rzece św. Pieter.

— A któz ta?

— Jo, biedny sewcyk.

— A to ty, coś dzisiok pomer?

— A juści — pado sewcyk.

— A moześ ty złodziej? Krodeś skóry? Godoj!

— Nie krodem, jak światłość wiekuistom oglóndać zycę, ino to, co z pod noza padło.

— A po drugie — mówi św. Pieter — nie pusce cie, bo Pon Bóg z Ponem Jezusem i Przenajświętsom Panienkom, wszystkiemy świętomy kajś pošli. Jak Pon Bóg przyńdom, to cie pusce.

— Kiej me strażnie nogi bolom, a nie ma kaj spocywać.

Tak święty Pieter zlitował się nad tom sewcykowom dusyckom, bo obocył, ze mo kiepskie buty, tak powiado mówi:

— Jus cie pusce, bo mi cie zol, ale pocóześ takie kiepskie buty wzion na drogę?... przecieześ sewc!

— A bo to święty Pieter nie wiedzom, ze sewc zawdy w kiepskich butach, abo i bez butów chodziz?

— To tam u wos kiepskie je urzondzynie! — pado mówi Pieter.

Otwar wrota i pado do sewcykowy dusycki:

— No, włącz, siadź se tu za drzwiami i siedź cicho. Mos tam niebieskie smaty, to sie przyoblec: przecie takiego oberwańca tu trzymoł nie bede!

A tam, za temi drzwiami były takie oblecenia niebieskie, takie biołe, co jesce bielse, niz łabędziowe pierze. Tak tu sewcykowa dusycka przyoblekła sie i tak ji było dobrze, co jesce lepsi, jak kiej sie na świat narodziła.

Tak patrzy po tem niebie, a tom takie cudności, a wsyćko sie tak minilo, jak ta tęca, tak cosik pochnioło, ze lepsi, jak na polu na wiosne. Tak sewcykowa dusza se tak myśli: „Bedzie mi tu dobrze, zeby me ino ostawili“!

No i patrzy na obykoło, a tam takie stojom stołki różne i była strasna moc tych stołków. Ale nalepsi spodoboł sie ty sewcykowy dusyccie jeden stołek taki wielgi, cały wyrobiony ze złota, srybna i nabijany takemy świecuncemy kamieniamy kiej szkło, a przy tym wielgiem stołku stoł taki mały stołeczek.

Okropnie ty dusyccie sie zachciało na tym stołku siadać, ale świętygo Pietra bała. Ale za jakiś cas jus i strachu przepómniała, na ten stołek patrzacy, no i siadła na tem stołku.

A tu patrzy, że z tygo stołka wsyćko na ziemi widać (bo to był stołek Pana Boga).

Widzi het całum ziemie, jak ludzie orzom, pasom bydło, jak ptoki latajom, jak sie baby kłócom, żydy hanglujom, het wsyćko. A była tom rzycka, a w ty rzyccie prała baba chusty, ale nie swoje, ino ludzkie.

Tak sewcykowa dusycka patrzy na te babe, bo była znajoma, a ta baba bierze dwie kosiule i niesie do krzoków i schowała, ukradła.

Tak sie ta sewcykowa dusycka strażnie ozgniwała i zacena do ty baby wrzescyc: „Nie kradnij“! — ale kiej tam! baba nie słyszała, bo grzysny niebieskiego głosu nie słysy, a po drugie, ze było daleko ty babie do nieba.

Tak w ty złości, niewiele myślący, ta dusycka łap za ten stołek mały i w te babe!

W to ocymgnienie wrota zaskrzypioły (niby te niebieskie) tak sewcykowa dusza sie schowała w ten kuncik za drzwiami.

I przysed Pon Bóg ze spacyru, i Pon Jezus i Pa-

nienko Przenajświętszo, wszyscy Święci, i Janiołowie — okropna sie Iona zrobięła.

Janiołowie zaceni grać tak pięknie, co jas sewcykowa dusycka od radości mglała.

Pod ten trakt Pon Bóg se usiedli na tem stołku, co to na niem sewcykowa dusza siedziała i podajom:

— Dejcie mi ta stołeczek pod nogi!

Tak janiołowie dalej sukać stołeczka, a tu nie ma nikaj.

Jak wzieni sukać, tak naleźli sewcykowom dusycke za temi drzwiami.

Tak dopiero pytajom sie:

A te dusycka z wielkiem strachem pado mówi, ze jom tu święty Pieter puścił.

Tak jom zaprowadzili do Pana Boga, i jus się wicy nie bała.

A Pon Bóg zaraz, że to wsyćko wiedzom, tak podajom:

— Kajs podziół mój stołeczek?

Tak sewcykowa dusycka dopiero mówi, co i jak beło, ze tem stołeckiem prasnęła w te babe.

Tak Pon Bóg tak pedzieli:

— Kiej cie jus święty Pieter puścił, to se tu siedź, ale by ci sie czyściec przydoł. Widzis, nie trza sie zaraz tak ciągiem gniewać, choć co złego widzis. Jo, zebym sie chcioł tak ciągiem gniewać, to bym jus nie mioł na cem siedzieć, tyle złego ludzie robiom!

Bo Pon Bóg som dobrzy i choć co złego wiedzom, to cekajom. Moze, podajom, sie zły poprawi.

A jak sie poprawi, to sie wszyscy w niebie ciesom, janiołowie zaraz grajom pięknie od ty radości.

Janina Pietrusińska.

Legenda babusi

Był piękny, tajemniczy wieczór wigilijny. Na niebie lśniły miliony gwiazdek, srebrny księżyc uśmiechał się dobrotliwie swą pyzată buzią. Było cicho, cichusieńko i tak inaczej, niż zwykle. Zawsze hałaśliwy Burek coś przycichł i leżał spokojnie w swym psim domku, a wieczny włóczęga - kotek Mruczuś, zwinięty w kłębuszek, leżał koło pieca i tylko od czasu do czasu przyglądał się zielonymi ślepkami swojej małej dręczycielce Marysi, która zwykle skacząca, teraz tak spokojnie siedzi na kolanach Babci i z otwartą buzią słuca dziwów, jakie jej Babunia opowiada.

— Nie dziw się Mruczusiu, że Marysia z taką ciekawością przysłuchuje się ślicznej legendzie, którą w wieczór wigilijny można w każdym domu usłyszeć, — nie dziw się, bo to są cuda, które ty, Mruczusiu, nie możesz usłyszeć i zrozumieć, a Marysia wchłonie je swym dziecięcym serduszkim i nakarmi wrażliwą duszę.

„Gdy narodził się maleńki Jezusek w stajence w Betlejem, podążyli pastuszkowie do szopy, by by złożyć Mu dary, — pospieszyli także i królowie, a co najdziwniejsze — przybyły i zwierzątka, a każde z nich przyniosło w podarunku Jezusowi coś, co uważało za najpiękniejsze i najgodniejsze Boga.

Jakże nakłopotał się niedźwiadek, co by to Pacholęciu dać, wreszcie wymyślił w swej kudłatej głowie, że najlepiej będzie zanieść młodą choinkę. Jak pomyślał — tak zrobił. Znalazł w lesie piękną, zgrabną choinkę i rozweselony ruszył do Betlejem, ale ku swemu zmartwieniu idąc szybko potknął się i drzewko wpadło do wody. Jednak dla chcącego nie ma nic niepodobnego, — zmartwiony Miś wyjął z wody zieloną choinkę i ruszył dalej, ale krople wody na zmoczonej choince zamarzyły w drodze srebrzyście i migotały przepięknie na drzewku, które złożone w darze małemu Dziecięciu podobało Mu się niezmiernie i z radości klaskało Boskimi rączkami i uśmiechało się radośnie. Na pamiątkę tej radości małego Jezuska na widok choinki, stroi się dziś na Boże Narodzenie jodełki i świerki, które sprawiają wiele radości dzieciom.

Każde ze zwierzątek, przybywających do szopki, starało się ucieszyć czymś Jezuska — i tak maleńki pajaczek usnuł Dzieciatku srebrną nić, skowronek śpiewał piosenki, małpeczka krzywiła zabawnie swój pyszczek, kot Miauczek miauczał i skakał, capek bródką trząsał, a mały murzynek Bimbo wywracał swymi czarnymi ślepkami — i wszystko pocziwe zwierzęta czyniły, by Jezuskowi nie przykaszło się leżeć w ubogiej stajence“.

Teresa Szyrajew.

Złotowłose chłopię

W mieście na targu dziś ruch wielki — od samego rana ustawiają ludzie jodełki. Kupują, sprzedają, przywożą, roznoszą na wszystkie strony. Święta Bożego Narodzenia. Każdy ojciec i matka chce stroić drzewko dla dzieci. W salonach wspaniałych już od dni paru ozdabiają rozłożyste choinki. Mniej zamożni nie spieszą się — czekają na ostatnią chwilę, by taniej, by tylko taniej coś nabyć.

Tak sobie rozmyślał Maciej, biedny chałupnik z pod lasu pańskiego — dostałem kartkę, to i ja narąbię sobie drzewek i sprzedam. Jak pomyślał, tak i zrobił. Nasmarował sanki, naostrzył siekierkę z wieczora, a rankiem skoro świt nałożył kożuszek, popatrzył ze iza w oku na stulone, śpiące dzieci, co się wczoraj na głodno położyły; przeżegnał się święconą wodą i wy-

szedł. Idzie do lasu — brnie po kolana w śniegu, ciągnąc za sobą sanki.

W lesie ścina jedno i drugie z tych mniejszych drzewek, co to dla ludzi biedniejszych przydatne i układa na sanki. Już ma z tym towarem jechać ku miastu, gdy usłyszał płacz i kaszel dziecka. Patrzy — aż tu wśród krzewów siedzi skulony złotowłosy chłopczyk, siny z zimna i drżący; płacze, a łezki sypią się jak groch na ziemię. Zbliża się Maciej i pyta — skąd by się tu wziął? Lecz chłopczyzna milczy i płacze. Pewnie to biedactwo porzucili źli ludzie, aby im nie zawadzała ta sierotka. U mnie bieda, zimno i głód w oczy zaziera, ale przecie jego tu nie zostawię — śnieg by go przywalił i wilki to niebożę zjedzą — ha! trudna rada, zabiorę ze sobą. I posadził Maciej litościwy sierotkę

na sanki i ciągnie ten podwójny towar do miasta na bliższe drogi.

Nie dojechałi do miasta, a tu po drodze spotykają pana z dworu. Ten poznawszy Macieja i dowiedziawszy się o sierotce, obdarzył srebrną monetą. W mieście zaraz cały transport drzewek rozkupiony został. Uczesany Maciej kupił w sklepie maki, kaszy, soli i chleba — dobry kupiec dodał dla dzieci słodyczy i z tym wszystkim wraca szybko do domu.

— Wiozę ci, Agnieszko, kolację świąteczną i tę oto sierotkę. Obmyj go i ubierz, a wam dzieci małego braciszka.

Zdziwiona Agnieszka robi mężowi wymówki:

— A bójże się Boga, Macieju, na naszą biedę i nędzę jeszcze tę włóczęgę dodajesz? Czyś oszalał? —

i cała litania posypała się z ust rozgniewanej Agnieszki. Lecz że z gruntu i ona dobrą i uczynną była, toteż zaraz się umiarkowała, z gniewu pierwszego ochłodziła, zajęła się sierotą i poszła do pieca przyrządzić wieczerzę. Gdy pierwsza gwiazdka zajrzała przez okienko izby, posadzono sierotkę na honorowym miejscu, a wszyscy otoczyli stół dokoła. Po modlitwie zaśpiewano koledę „Gdy się Chrystus rodzi“. Wtem światłość napełniła izbę tak wielką, że wszystkich olśniła swym blaskiem i zasłoniła sierotkę. Wśród tego chłopczyk złotowłosy znikł, zlewając na dom błogosławieństwo wielkie, bo to nie była sierotka, ale sam Pan Jezus w swej Osobie.

Od tej pory nic nie brakowało w tym domu. Tak Bóg nagradza litościwych ludzi. — Błogosławieni miłośnierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią!

Łzy smutku i radości w wieczór wigilijny

Błękitne oczy małej Zosi biegały niecierpliwie od matki, krzającej się po kuchni do okna, za którym już słońce grudniowe zaszło i szarzyć zaczęło i ciemnieć. Zosia nie mogła doczekać się wszystkiego, co w ten cudowny wieczór wigilijny nastąpić miało, a tu matka zapracowana i zajęta gotowaniem nie miała czasu z nią o tym mówić i biedne dziecko drepcęło po kuchni, myśląc uporczywie co to będzie, jak to będzie i kiedy to będzie. Głodna była, a z nad blachy dochodzą smakowite zapachy, ale mama nic przed wigilią tknąć i ruszyć nie da, jakby na złość to pierogi z kapustą aż się proszą: „zjedz nas, Zosiu“! — to znowu żur z grzybami woła swym zapachem: „pijcie mnie prędko, bo zgęstnieją!“ — na darmo! — mama tego nie słyszy, tylko krząta się żywo, przygotowuje i miski i łyżki, kraje chleb, zmiata na stole, sprząta po izbie i taka zapracowana, że na swą Zosię, ulubienicę, tak mało dzisiaj zwraca uwagi.

A Zosi myśli po głowie się tłoczą i jest coś, co ją najwięcej zajmuje, a tym jest — zielona jodełka, stojąca w sieni, w kącie. Ojciec Zosi przywiózł ją dzisiaj w południe z lasu pobliskiego i rzucił w ciemnej sionce, mówiąc: „Jak będziesz grzeczną, to przed wieczerzą ubierzemy to drzewko“! — no i tatuś poszedł do stodoły młócić zboże, bo co się ta będzie kręcił po kuchni i zawadzał mamusi przy gotowaniu. A tu już wieczerz będzie wnet, bo tylko patrzeć, jak gwiazdka na niebie się ukaże, a tu chojar zielony w kącie stoi jak stał i pachnie lasem, tylko tatusia jak nie widać, tak nie widać.

— Możeby to iść do stodoły do tatusia i przypomnieć mu o drzewku? Tak zrobię!

Pokreśliła się po izbie, na barchanową sukieneczną przywdziała chustkę mamusi, tylko najgorzej — co zrobić z bosymi nogami, a mróz już wzory na szybko pięknie maluje, to i pewnie dobrze zimno i mróz. Leżą wprawdzie w skrzyni nowe jej buty żółte, o których śni prawie co noc, ale to na jutro do kościoła; e, przecież nie zmarznie w tych podartych za chwilkę małą!

Wybiegła szybko z izby przez sieni na dwór — zapach jodełki dodał jej odwagi do tego czynu, ale dobiegłszy na boisko, już ją odwaga opuściła... „Jak

będiesz grzeczną, to ubiorę drzewko“! — tatuś ją wprawdzie lubi, greczna była, jednak nie lubi, gdy mu kto w robocie przeszkadza i może się pogniewać, a z drzewkiem co będzie?...

Ojciec wiązał sromę powróstem i zobaczywszy ją, zapytał: „No i co“! — Jej serce zatrzępotało się żywiej, już, już miała powiedzieć prawdę z czym przyszła, jednak na usta wypłynęło co innego: „Tatusiu, nie zimno wani? — chodźcie do domu, bo zmarzniecie“! — „Nie nudź! ty idź do izby, bo nogi masz z zimna czerwone jak raki“! — Rzeczywiście Zośka trzęsła się i z zimna i z niecierpliwości i z trwogi co to będzie... — „A bo myślałam, że byście nie zmarzli“ — i pobiegła z powrotem do domu, lecz gdy zobaczyła, że stół nakryty białym obrusem i matka wyjmując ze skrzyni paczkę białych opłatków, przebrała się już miara jej cierpliwości i nie zważając na nic poleciała pędem do ojca na boisko i tak cała czerwona od mrozu, który wyszczypał jej policzki, wpadła do stodoły. „Tatusiu, mamusia już opłatki wyjęła i dała na stół obrus i gwiazdka już świeci i żur i pierogi i wszystko gotowe! Chodźcie, tatusiu“! Tylko o choince nic nie wspomiała, choć ją to najbardziej bolało i martwiło, że stoi taka smutna i pusta i w takiej poniewierce w sieni — koło beczki z kapustą, a ona by ją najchętniej postawiła na stole, na komodzie, na najpierwszym miejscu...

„Ej, nie przeszkadzaj mi dziewczyno — bo się zgniewa“... — Nie widziała biedna Zosia, że ojciec uśmiechał się pochylony nad słomą, nie widziała biedna, tylko jedno wiedziała, że z tych radości pewnie nic nie będzie i ojciec zagniewany drzewka nie ubierze. Wargi jej zaczęły drzeć i bródka trząść się od tłumionego płaczu i najniezwyklejsza w świecie wykrztusiła — „a bo mieliście tatusiu drzewko ubierać i...“ — i rozplakała się i zaniosła łkaniem...

Pochylony ojciec wyprostował się, roześmiał się śmiechem, który Zosia tak lubiła, bo wróżył zawsze coś dobrego i wzięwszy rozsłochaną dziewczynkę na rękę, ruszył z nią ku domowi, by przystroić pięknie zieloną jodełkę.